

Gdzieś daleko stąd, w odmiennej galaktyce, w której żyją zecerzy i ereswu Prasa-Książka-Ruch, trwa lato tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Zdradzę wam tajemnicę: zecerzy, ereswu i lato zostaną w niej na cholerne zawsze. Tylko ja będę miał pecha i zły los popchnie mnie dalej, w inne chore, coraz dziwniejsze galaktyki, jak jakiegoś oferme, pieprzonego skajłokera, który wypadł ze statku kosmicznego nawalać się z czarnym lordem ciemności, ale nie dostał na drogę świetlistej szabelki; ma więc przerąbane in advance, chyba że skasuje Vadera przy użyciu cudownej mocy.

– Napij się, młody – mówi facet, którego roboczo nazwałem Człowiekiem-Kluchą, ponieważ jest on człowiekiem, ale wygląda jak klucha.

Klucha jest podstępny i kieruje działem krajowym gazety codziennej o kretyńskim tytule, wyświetlającym się nad przystankiem tramwajów. Jednym z nich Klucha przyjeżdża i odjeżdża z tej firmy. Teraz jednak zamyka mnie w pokoju redakcyjnym, który chwilowo jest pokojem dla betonów. W redakcji tej bowiem trwa całkiem udana libacja alkoholowa, z okazji imienin siedmiu Andrzejów i sześciu Barbar, które tam pracują. Człowiek-Klucha i jego pijani kumple zaprosili na libację studenta filozofii, którego na trzeźwo przyjęli jako praktykanta.

– Młody – mówi Człowiek K., choć nie może już ustać na nogach – a teraz mam dla ciebie niespodziankę: masz tu biureczko, masz tu maszynę. Masz pół godziny. Jak napiszesz... – tu urywa i drze gębę w stronę swoich kompanów: – Panowie! Co młody ma napisać?

– Sonet o kupie! – pada odpowiedź gdzieś z czeluści działu kulturalnego, skąd dochodzi smród przeokropny.

– Właśnie – kończy Człowiek K. – Sonet o kupie masz napisać. Barokowy. Dajemy ci pół godziny. Jak napiszesz, barokowy, o kupie, damy ci pół etatu. Chcesz pół etatu?

Panie Jezu, który gładzisz grzechy świata, ależ jak ja pragnę tej połowy etatu, to nie masz pojęcia. To dwie emerytury mojego ojca.

– O kupie, w pół godziny. Sonet – odpowiadam mu odruchowo. – Jasne, zaraz będzie gotowy.

Zamykają mnie w pokoju z tą maszyną. Morsztyn i jego rymowanki o cychach. Morsztyn i jego rymowanki o cychach. Że zaraz, jak to leciało. Bielsze mojej laski szyje niż śnieg, lilije. Coś tam coś tam panny mojej płeć czy jak to tam było. Bielsze jest światło, gdy bije w mej dupie, niżli ta droga brązowa, wytyczona w kupie.

Bomba!

Mija pół godziny. Są tak pijani, że nie widzą już na oczy. Chłapię z nimi jeszcze jeden kielonek i znikam, opuszczając budynek z głupim neonem, wyświetlającym się nad przyjeżdżającymi i odjeżdżającymi tramwajami. Kartka z sonetem leży na biurku, zachlapana gorzałą i sokiem.

Następnego dnia, w wielkiej glorii, o której można by nawet powiedzieć, że będzie to gloria prawie naturalna, Człowiek-Klucha i kumple wezwą mnie do siebie i wręczą do podpisania umowy o pracę. Na pół etatu. Pogratiują mi i Człowiek-Klucha powie na stronie, że skoro sonet o kupie wyszedł mi jak z rękawa, to i pozostałe duperele, o kupach, o których zwyczajowo pisze się na łamach gazet, również nie powinny przysporzyć mi zbyt wielu trudności.

W tej samej odmiennej galaktyce trwa zatem ciągle ten sam, jakże odmienny od innych rok numer tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy. Wiek numer dwadzieścia. Znowu jest lipiec. Są tu również zecerzy i ereswu, choć w formie syndyka masy upadłościowej czy jak to się nazywało. Ostatnio gdziekolwiek spojrzę, lipiec pojawia się jak zafajdany grzyb po deszczu. W lipcu tego roku jestem więc dziennikarzem w „Głosie Poranka”, ostatniej warszawskiej popołudniówce, która wychodzi rano. I której kretyńska nazwa oświeśla z góry tramwaje, przywożące nas pod same drzwi i odwożące spod nich, gdy zachodzi taka potrzeba. Zatrudnił mnie Człowiek-Klucha, który był na cyku. Mówiłem wam, że to chory kraj. Skończyłem pierwszy rok studiów i z wolna przestaję rozumieć, po co w ogóle je zacząłem. Zabiorą mi tylko młodość i pół wątroby. Minęło już dwanaście miesięcy, a my wcale nie zmieniamy świata. Dla odmiany pracujemy od rana do nocy. Nie wybykaliśmy jeszcze ani jednej panny z akademika i jest nas

trzech: Ja, Bolo i Kwadrat. Dostaliśmy wszyscy pół etatu w miejskim dziale gazety, chociaż Kwadrat i Bolo nie musieli już pisać po pijanemu barokowych sonetów o gównie. Wystarczyło, że ja zrobiłem z siebie kretyna. Mamy dzienną pracę na dziennych studiach. Musimy w czasie pracy drałować na wykłady. I jeszcze ten i ów w naszej pracy bawi się z nami w ściganie kota. Za dziesięć lat zagrywki takie będą tępione sędownie pod nazwą mobbingu, teraz jednak wyleniały chudy palant o nazwisku Jarecki czy tam Buracki (oni wszyscy są jednakowi) goni nas z pustą szklanką do mycia, gdy nałłopie się kawy. Nie ma sensu się stawiać i denerwować Jareckiego czy tam Burackiego; to skrajny debil i mógłby tylko niepotrzebnie się na nas rzucić. Mamy na niego o wiele lepszy sposób: ochoczo myjemy te jego cholerne szklanki, ale nie wodą. Wystarczy przecież powstrzymać poranne siki przez godzinę albo dwie, by wszystko to zebrało się w pęcherzu do umycia Jareckiemu/Burackiemu jego śmierdzącej szklanki. Największa przyjemność polega zaś na obserwowaniu tego cymbała, gdy patrzy się na nas ze swoją wielkopańską miną żalosego padalca, pijąc nasze szczochy i zabełconą kofeinę. Inni pracownicy tej spółki cenią nas, choć przecież nie terroryzowaliśmy nikogo, że naszczamy do jego szklanki po kawie, jeżeli nie będzie dla nas odpowiednio wyrozumiały. Teraz rozumiecie, że to nie było takie łatwe dostać te cholerne pół etatu w ostatniej popołudniówce w Warszawie, centralnie The Vistula River. Ale potrzebowali gówniarzy, którym wystarczy parę złotych za tyranie od rana do nocy. W ten sposób stolica poznała mnie, Bola i Kwadrata. Ja, Bolo i Kwadrat to byli koledzy, a Warszawa to było miasto wojewódzkie. Były to piękne czasy, jak już pewnie nieraz wspominałem. Ich piękność polegała między innymi na tym, że posiadliśmy magiczną broń, przed którą cały świat padał na twarz: nasze prasówki.

Zwane szmatami.

Dawno temu w Bulandzie, centralnie The Vistula River, legitymacja prasowa była ważniejsza od dowodu. Otwierała wszystkie drzwi. Jej posiadacz był sumieniem społeczeństwa. Miał na tyle godności i klasy, że nie brał łapówek za artykuły. Była bowiem zasada: nigdy nie dać dupy.

To była piękna zasada. Dziś już nie ma takich zasad albo brzmią odwrotnie. Na widok legitymacji dziennikarskiej policjanci puszczali wolno z przerażeniem w oczach, a dziwki zasłaniały twarze ze strachu, że ktoś je sfotografuje.

Dziennikarz był kimś. Był kronikarzem wszystkiego i wszystkich. Sama zaś prasa naprawdę była władzą i służyła do opisywania rzeczywistości. Artykuły pisano na maszynach i robiono to w kilkadziesiąt minut, więc nie nadawał się do tej roboty żaden kutas, który klepie jednym palcem i robi błędy. Wreszcie artykuły składał zecer w kupie ołowiu, a każdy, kto zobaczył swoje nazwisko złożone w tej kupie, uważał, że jest królem świata. To było mocne. Byłem w pracy, nawet kiedy spałem. Pisałem po cztery takie artykuły dziennie. Jeździłem po Polsce jak naładowany. Miałem po pół godziny na zebranie informacji, a potem drugie pół na napisanie artykułu. W redakcjach wrzał stukot maszyn. Na przemian łała się kawa z gorzałą. Całe życie mijalo w oczekiwaniu na jakiś wybuch, wypadek albo demonstrację. Każda eksmisja menela wyciągała z łóżka. Kraksa samolotu zatrzymywała w pracy do rana. Bo dziennikarzem jest się przez całą dobę. Nawet o wpół do dwunastej w nocy, wracając do domu wypompowany jak dętka, gdy nagle staje się i widzi, jak faszyci na Nowym Świecie tłuką Murzyna albo rozwalają wystawy, trzeba do nich lecieć i ryzykować fangę w ryj, i notować ich słowa. Robić im zdjęcia. Gadać z Murzynem. I w końcu nie dojechać do domu, lecz wrócić do swojej maszyny i obdzwoniwszy komisariaty, pogotowie i własnego szefa, zostać nad tym klepadłem do świtu. I cieszyć się, i czuć dumę, że jest się oczami i uszami tego miasta.

Dziś nie wyjaśni wam już tego żaden redaktor z warszawskiego klubu kolesia; to on wykosiał wszystkich, którzy jeszcze znali ten fach. Dlatego dobrze radzę: zapamiętajcie sobie te słowa. Być może, że w chwili, gdy je czytacie, nie ma już dziennikarstwa w naszym mieście. Całkiem możliwe, że dziennikarstwo polskie umarło w dniu, w którym zamiast *Hebanu* Kapuścińskiego hołota z uniwersytetu zaczęła czytać podręczniki do pablik rileszysns.

Dzisiaj, gdy prasa żyje z reklam, czasopiśmem nie rządzi redaktor naczelny, ale dział reklamy. Jego lewymi i prawymi rękami są art dajrektorzy i graficy, a także wszelkie pociotki, kumple, niepiśmienne có-ruchny i kurewki, których wpycha się do redakcji na siłę, by pierdzieli w stołki jako kolejni zastępcy zastępców zastępców. Dziennikarze są najmniej istotni. Między reklamami i sesjami mody trzeba wepchnąć czasami kilka zdań w języku pisanym i dlatego trzyma się jeszcze dziennikarzy, choć mało kto wie, do czego są właściwie potrzebni.

Nikt nie szanuje tej profesji, dlatego dziennikarzem może zostać byle dupek, który akurat nie ma lepszego pomysłu na życie. Byle dupek puka do drzwi redakcji i jest dziennikarzem. Już wkrótce dowie się, że z otwartymi ramionami czeka na niego piętnaście agencji pablik rilejszyns (bo przecież nikt już nie rozumie terminu „rzecznik prasowy”), gotowych wysłać go na Hawaje, kupić mu nowe ciuchy albo dać do „testowania” fajny samochód, byle tylko ładnie napisał o tym wszystkim w gazecie. Czasami przysyłają mu nawet gotowca, żeby się nie zmęczył. W myśl zasady wszechobecnych anglicyzmów nazywa się to press kitem. Pismaki wyrrywają sobie te fuchy z rąk jak tanie dziwki pod latarnią szarpiące się o klienta. W myśl chorej, wyniesionej z PRL zasady, że trzeba się nachapać ile wlezie i póki starczy koryta. A potem spierdalać. Gazety są pełne takich etatowych dupowłazów, którzy parają się taśmowymi wycieczkami dookoła świata, oblatywaniem nowych modeli bryk i przyjmowaniem kilogramów prezentów od firm, które w ten sposób kupują sobie takiego pismaka razem z jego godnością, której ten pajac nie posiada. W związku z tym w roku dwa tysiące drugim legitymacja dziennikarska nie jest dobra nawet do wytarcia dupy, bo już od dawna nie jest papierową książeczką, tylko zafoliowanym identyfikatorem. Częściej służy do otwierania drzwi własnej redakcji jako karta zbliżeniowa niż jakichkolwiek innych w jakikolwiek inny sposób.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim na wydziale dziennikarstwa pewien prostolinijny facio prowadził zajęcia z przedmiotu o nazwie „etyka”. Był bardzo zły, gdy sugerowano mu, że już wkrótce etyka dziennikarska zniknie. Tak samo jak prostolinijność. Nie chciał zaliczać prac semestralnych, które nieśmiało przepowiadały, że z etyką dziennikarską może nie być za wesoło.

Jedziemy dalej.

Jest samo południe, małe miasteczko. Moja ulubiona scena, w której odwracam się na pięcie na środku pustego placu.

Jak w filmie.

Klaudia Pankiewicz była rok ode mnie starsza i miała całkiem zgrabne, jędrne ciało. Gdy przyoblekała je w ciasną brązową bluzkę, wyglądała trochę komicznie, a trochę kusząco. Był z niej kawał baby, ale w końcu dla takich kawałów baby człowiek żyje. Był dalej rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci i było lato. Klaudia i ja siadaliśmy na balkonie, na ostatnim piętrze wieżowca, i słuchając *Combat Rocka*, najwolniejszej płyty Kleszów, jaka istnieje, gapiliśmy się na niebo. Miały też miejsce debilne gadki, stosownie do sytuacji wygłaszane przy zamkniętych oczach. Klaudia była taka jak ja i paliła camele. Miała grzywę na oczy i wiedziała, kim był Brian Jones. Była prawdziwą boginią. Miałem dwadzieścia jeden lat, ale nie dobieierałem się do niej. Taka była święta.

– Goł strejt tu hel, boj – śpiewali The Clash na tej płycie.

Mieszkała w akademiku polibudy. Jeździłem tam tramwajem numer czterdzieści trzy, który w drodze do Klaudii przemierzał całe brudne miasto. Jeździłem tam jak maniak, żeby posiedzieć przy niej chociaż godzinę i wracać, zanim się ściemni. Rozmawialiśmy o Heyu, który wydał pierwszą płytę.

Rozmawialiśmy o wierszach, które dla niej pisałem. Miała duże, zielone oczy. Dopiero patrząc w te oczy, zrozumiałem, o co chodziło ludziom, którzy mówili mi, że można utonąć w oczach kobiety. Patrzyłem sobie więc w te oczy i tonąłem. Wystarczyło dotknąć jej dłoni, żeby poczuć przyjemność. A czasami wystarczyło jej wcale nie dotykać.

Klaudia Pankiewicz rznąła się z całym akademikiem, szczególnie katując studentów z inżynierii lądowej. Ruchał ją kumpel z pokoju obok i ruchała ją koleżanka zza ściany. A na koniec ruchał ją jej chłopak, który

był komendantem straży pożarnej w małym miasteczku.

Pojechałem więc, hen, daleko za Wrocław, do małego miasteczka. Był lipiec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy. Było południe i wyglądało jak na filmie. Umówiłem się z tym koleśkiem na środku głównego placu przed szkołą. Pogadać o miłości do Klaudii chciałem. Główne place przed szkołami są zawsze puste na filmach i tak też było tym razem. Wcześniej wypilem piwo w barze, który świecił pustkami.

– Jesteś nietutejszy – powiedział barman.

– Jestem nietutejszy – potwierdziłem.

– To dobrze, że jest pusto – odparł. – Nie przychodź tu po zmroku.

Dopiero po latach dowiedziałem się, że to był bar dla recydywistów, a to miasteczko miało największy współ- czynnik przestępczości w całej Polsce.

Ale w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego niewiele mnie to wszystko obchodziło. Nie wiedziałem, jak cholernie trendowa zrobi się przestępczość. Nie wiedziałem, że trzeba znać bary, do których się chodzi. Nie wiedziałem, że kiedyś spotkam Tofi i że będę chlał przez nią w jednym z barów, nie wiedziałem, że już za chwilę będę szedł o dwunastej w samo południe głównym placem tego małego miasteczka.

Jest dwunasta, w samo południe. Idę głównym placem, a z drugiej strony idzie facet Klaudii Pankiewicz. Jest w cywilnym ubraniu, ale idzie pewnie, zupełnie inaczej niż ja. Ja idę jak dupa. W końcu spotykamy się na środku placu przed szkołą, w samo południe. On pyta, czy to ja jestem ten a ten, a ja mu odpowiadam, że tak i że on musi być ten a tamten. Następuje chwila konsternacji, jak w każdym dobrym westernie.

– Najlepiej będzie, jeżeli jeszcze dzisiaj wyjedziesz z miasta – mówi facet Klaudii Pankiewicz.

To była moja kolejna ulubiona scena, w której odwracam się na pięcie i odchodzę w stronę dworca, przewieszając przez jedno ramię wojskowy plecak z demobilu. Gdybyśmy byli w filmie, kamera odjechałaby wysoko, jak w finałowej scenie *Powiększenia*, a ja zniknąłbym i zostałby już tylko pusty plac w małym miasteczku.

Jedziemy dalej.

W innej galaktyce jest jesień, rok ten sam. Drugi miesiąc strajku Huty Centralnej, która już nie jest Hutą Centralną, od kiedy sprzedano ją obcym kapitałom. Prawie cały przemysł sprzedano różnym ludziom z zagranicy, w ramach przechodu z komunizmu na kapitalizm. Sprzedano więc i hutę. Ludzie z zagranicy zachowują się w tej hucie jak nienormalni. Zbudowali sobie osobną stołówkę i osobne biura, a robotnikom zmniejszyli pensje o połowę i gonią ich do roboty jak niewolników. Nie pozwalają im chorować, bo za chorobę grozi wywółka. Huta pracuje jak obóz pracy przymusowej. Są baraki dla więźniów, są baraki dla werkschutzów, są też i kapo, czyli Polacy, którym płaci się za poganianie robotników. Huta nie chce pracować jak obóz. Robotnicy wyrzucają prezesa za płot i organizują strajk okupacyjny. Domagają się zwiększenia pensji, ale przede wszystkim ludzkiego traktowania. Domagają się też nowych maszyn i przestrzegania przepisów BHP, bo nie mogą już tyrać tak w tym gnoju. Raz na tydzień wyjeżdżają z huty i jadą autobusami do Warszawy. Idą ulicami miasta, aż pod Urząd Rady Ministrów, by tam bić się z policją i wręczać petycję ministrowi. Minister bierze petycję i uśmiecha się głupawo. Telewizja filmuje to i młoda laska w żakiecie uśmiecha się głupawo. Młoda laska daje dupy w telewizji. Młoda laska jest głupia, ale dupę ma ładną. Młoda laska jest nadzieją naszej telewizji. Gliny pałują robotników przed wejściem i zaganiają ich z powrotem do huty. Młoda laska pokazuje do kamery, jak gliny ich pałują. Jedziemy więc do huty, rozmawiamy z robotnikami i dyrekcją. Naszą gazetę czyta wielu robotników. W naszej gazecie codziennie musi być nowa relacja o robotnikach. Robotnicy zapraszają nas na wspólne koczowanie. Robimy reportaż z nocnej wachty strajkujących. Mają tam syf, brud i zakaz picia. Proszą nas o pomoc. Jako jedyni mamy pozwolenie na przekraczanie bramy zakładu, więc wyjeżdżamy do sklepu nocnego. Kupujemy dwadzieścia flaszek wódki i dwadzieścia mineralnej.

Wylewamy mineralną. Wlewamy wódkę. Wódka w butelkach po mineralnej wjeżdża do strajkujących robotników. Robią się po niej rozmowni. Rozmawiają z nami o tym, jak wyżywić troje dzieci za sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Rozmawiamy z nimi o tym, że nie da się tego sensownie zrobić. Rozmawiają z nami o tym, że córki się puszczają, a synowie kradną. Rozmawiamy z nimi o tym, że nadejdzie dzień i że podniesie się pięść, i inne takie, żeby podnieść ich na duchu. Robotnicy są podniesieni na duchu. Wypili wódkę i chcą podnieść pięść, i chcą, żeby nadszedł dzień. Potem rzygają i kładą się spać. Ciągłe jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci. Rano wyjdziemy z fabryki i będziemy rozmawiali z dyrekcją. Zagraniczny dyrektor, który kupił fabrykę i robotników, powie nam, że żaden postulat robotników nie zostanie spełniony. Że wyrzucą ich siłą albo zmuszą do roboty. Dyrektor mówi, że wie, jak rozmawiać z robotnikami, by wrócili do roboty. Jutro przyjedzie policja. Skacowani robotnicy będą się modlić. Policja wypałuje skacowanych robotników. Wyrzucą ich albo zagonią do pracy.

W przyszłości będzie rok, którego numeru nie znam. Odbędzie się egzamin w szkole handlowej.

- Jak wyrolować robotników? – zapyta w przyszłości egzaminator szkoły handlowej.
- Przytoczę słynny przykład Huty Centralnej z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego, zwany metodą modlitewną – z uśmiechem powie w przyszłości student.
- Brawo – powie egzaminator.

To będzie bardzo dobry przykład. Student zda egzamin. Po egzaminie będzie świętował. Poprzedniej nocy jego matka modliła się do Boga, by egzamin powiódł się jak najlepiej. To będzie w przyszłości.